

## **Klasyczny model moralności mieszczańskiej: Benjamin Franklin**

Słyszałem dobre kazanie wielebnego Gifforda wedle słów: „Szukajcie Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości, a reszta będzie wam dodana”. Wyborne i przekonujące, zacne i moralne kazanie. Wykazywał jak mędrzec, że sprawiedliwość pewniejszą jest drogą do wzbogacenia niżeli grzech i lotrostwo.

*(Dziennik Samuela Pepysa, 23 VIII 1668)*

Gdy się rekonstruuje życie Franklina, największą trudność sprawia selekcja faktów, tak to życie jest bogate. Sam Franklin zmienia nam się w oczach od młodego, żadnego wiedzy czeladnika drukarskiego do wielkiego męża stanu i ogładzonego w salonach paryskich mędrca.

[...] Franklin jest ciągle zaabsorbowany doskonaleniem siebie i swego otoczenia. Dla każdej wiadomości teoretycznej dostrzega wnet jej praktyczne zastosowanie. Gdy dymią piece, natychmiast szuka na to sposobu. Widząc w Londynie zaśmiecone ulice zgłasza projekt ich racjonalnego zamiatania. Jadąc morzem do Francji składa na piśmie memoriał w sprawie udoskonalenia nawigacji. Trwonienie światła, które dostrzega w Paryżu, naprowadza go na *Projekt ekonomiczny*, który posyła redakcji jednego z dzienników. Projekt ten zawiera kalkulację, ile zaoszczędziliby paryżanie na świecach, gdyby zechcieli wszyscy wstawać o wschodzie słońca. Głośne badania Franklina nad elektrycznością przynoszą jako rezultat praktyczny m.in. piorunochron i kondensator. Obejmując rzeczy wielkiej skali nie traci nigdy z oczu najmniejszych drobiazków. W swojej ostatniej woli uważa się za uprawnionego do legowania wielkich sum na cele publiczne, a nie na rodzinę, skoro sam po rodzinie niczego nie odziedziczył. Zostawiając pieniądze na realizację dalekowzrocznych planów, przekazuje jednocześnie, by płyta marmurowa na jego grobie miała sześć stóp długości i cztery szerokości, i sam skreśla lakoniczną treść epitafium. [...]

Franklin sam wywodził się z drobnomieszczaństwa i w swoich wskazówkach życiowych do niego się przede wszystkim zwracał. Podczas gdy Franci-

szek Arouet mienił się de Voltaire'em, Franklin żadnych ambicji do tego rodzaju awansu społecznego nie zdradzał i do końca życia chlubił się tym, że ojciec jego wytapiał świece. „Niewinny oracz — jak pisał w swoim kalendarzu — więcej wart niż występny książę”. Gdy w Paryżu pytano go, jak by pragnął być tytułowany, odpowiedział, że najmilej by mu było, gdyby traktując go jako człowieka uczonego, nazywano go doktorem — wybór symptomatyczny dla jego hierarchii wartości. Przeciw dziedziczeniu przywilejów i zaszczytów wypowiadał się niejednokrotnie. Pozycja społeczna winna być — według niego, jak i według innych pisarzy mieszczańskich — mierzona osobistą zasługą. Jeżeli jakiś splendor ma już na kogoś z rodziny spływać, to już raczej z dzieci na rodziców za to, że wychowali kogoś, kto się czymś wyróżnił. Sprzyjanie myśli postępowej przejawia się w opiekuńczym stosunku Franklina do Thomasa Paine'a. Oddaje ten stosunek Howard Fast w swojej książce o Paine. [...] Marks dostrzegał nowatorstwo Franklina w niejednym punkcie. Z jego pomysłów korzystał — zdaniem Marksa — Malthus. Poza tym Franklin — według Marksa — jako „jeden z pierwszych po Williamie Pettym przeniknął istotę wartości”, głosił, że „wartość wszystkich rzeczy najśluszniej jest oceniać pracą”, do Franklina też należy słuszna charakterystyka człowieka jako zwierzęcia wyrabiającego narzędzie [...].

Przejdźmy już teraz bezpośrednio do skreślenia najważniejszych rysów tego wzoru, który Franklin zalecał swoim ziomkom naśladować.

Postawę człowieka, który sam ma sobie wszystko zawdzięczać, charakteryzuje doczesność aspiracji i trzeźwość. Wzrok jego nie jest zwrócony w zaświaty. Nie dla nich się pracuje i nie od nich oczekuje się pomocy. „Bóg pomaga tym, którzy pomagają sami sobie; strzeżonego Pan Bóg strzeże” — głoszą aforyzmy Franklinowskiego kalendarza. Trzeba osiągnąć powodzenie tu, na ziemi, a to, że człowiek swój los wykuwa sam, nie zawdzięczając go żadnym odziedziczonym przywilejom, winno być dla niego źródłem szczególnej satysfakcji.

Cnotę człowiek winien mierzyć użytecznością. Żadnych wyrzeczeń, z których nikomu nic nie przychodzi, żadnych praktyk ascetycznych nikomu niepotrzebnych. Słyszy się tu jak gdyby głos Dawida Hume'a, który — jak wiadomo — ostro krytykował różne formy ascezy twierdząc, że służą głównie do tego, by zakwaszać człowiekowi charakter. W odczycie, wygłoszonym w 1735 roku pt. *Wyrzeczenie nie jest istotą cnoty* [...] Franklin dowodził, że człowiek nie ma mniejszych zasług przez to, iż czyni coś bez wysiłku, i że sprawiedliwość, miłosierdzie czy wstrzemięźliwość są cnotami niezależnie od tego, czy się je uprawia zgodnie ze skłonnościami czy wbrew skłonnościom. Ten, kto robi rzeczy szalone — mówił mając na myśli praktyki ascetyczne — tylko dlatego, że są przeciwne jego skłonnościom, to wariat. [...]

W autobiografii Franklin zeznaje, że nosił się z zamiarem napisania rozprawy wyjaśniającej i propagującej myśl, że złe czyny szkodzą nie dlatego, że są zabronione, lecz są zabronione dlatego, że szkodzą [...], i że zatem jest w interesie każdego, kto chce być szczęśliwy także i na tym świecie, być

cnotliwym. Cnota się opłaca (*honesty is the best policy*) — musiał to mocno podkreślić ktoś, kto był tak jak Franklin zawsze i przede wszystkim pedagogiem pragnącym ludzi do cnoty zachęcić.

Ten sam utylitaryzm, jaki Franklin objawiał w stosunku do moralności, objawiał i w stosunku do religii. Oddalał się od niej już od piętnastego roku życia — jak zeznaje w autobiografii. Pewne jednak przekonania, które pomagają człowiekowi żyć, radził zachować. Choć nie zaprzeczał, że pogląd materialistyczny okazać się może prawdziwy, uważał za pożyteczne — zgodnie z poglądami ówczesnych deistów — wierzyć w nieśmiertelność duszy, a także i w Boga, który opiekuje się światem oraz karze i nagradza ludzi za życia czy też po śmierci. Od wszelkich praktyk religijnych sam Franklin trzymał się z dala, zaś w stosunku do duchownych pozwalał sobie na śmiałe docinki. Praktyki religijne zostawiał kobietom, a nawet, jak to wynika z listów, które pisywał z Anglii do córki, kobietom je zalecał.

W zawartej w *Kapitale* znanej uwadze, że kredyt traktować można jako ekonomiczno-polityczną ocenę moralności człowieka, Marks chwycił coś bardzo istotnego dla charakterystyki tego wzoru, który Franklin zalecał naśladować. Jakoż kredyt uważać można u Franklina za m i e r n i k c n o t y i nie darmo niektórzy teoretycy przypisywali mu wskazanie na człowieka g o d n e g o k r e d y t u jako na ideał. [...]

A w *Radach dla młodego kupca* (1748) czytamy: „Zapamiętaj sobie powiedzenie: D o b r y p ł a t n i k j e s t p a n e m c u d z e j k i e s z e n i [...]. Kto znany jest z tego, że płaci punktualnie i akuratnie w terminie, do którego się zobowiązał, może w każdej chwili i przy każdej sposobności korzystać z całej gotówki, jaką jego przyjaciele rozporządzają. To bywa nieraz bardzo użyteczne. Poza pracowitością i oszczędnością nic nie przyczynia się tak bardzo do awansu społecznego młodego człowieka [...], jak punktualność i rzetelność w całym jego postępowaniu; dlatego to nie przetrzymuj pieniędzy nigdy ani godziny poza termin, do którego się zobowiązałeś, aby uczyniony zawód nie zamknął ci sakiewki twego przyjaciela na zawsze. Człowiek winien się liczyć z najbliższymi czynnościami, które naruszają jego kredyt. Wierzyciel, który słyszy dźwięk twego młotka o piątej rano albo o dziewiątej wieczorem, uspokaja się na sześć jeszcze miesięcy; ale jeżeli widzi cię przy stole bilardowym albo słyszy twój głos w szynku w porze, w której winienesz pracować, zareklamuje następnego dnia swoje pieniądze, żądając całości, zanim będziesz mógł nią rozporządzać.

To ujawnia ponadto, że nie zapominasz o swoich należnościach, daje ci pozory człowieka dbałego i uczciwego i jeszcze wzmaga twój kredyt”.

Ów ideał człowieka godnego kredytu — jak zauważali złośliwie krytycy Franklina — mógłby zaspokoić się p o z o r a m i c n o t y. Jednakże dla osiągnięcia powodzenia pozory niewątpliwie nie były wystarczające. W jednym tylko wypadku Franklin w pracy nad sobą poprzestał na pozorach, a mianowicie gdy chodziło o cnotę skromności. Franklin zeznaje w autobiografii, że

w tym zakresie poza pozór nie wyszedł, choć zapewnia, że rezygnowanie z małych próżności bardzo się opłaca, bo ludzie przywrócą ci piórka, w które się ktoś nieprawnie za ciebie przystroił.

Zgodnie z tym, co było mówione wyżej, trzy przede wszystkim cnoty zapewniają człowiekowi kredyt: pracowitość, rzetelność w wypełnianiu zobowiązań płatniczych oraz oszczędność. [...]

W średniowieczu świętowało się, gdy tylko nadarzała się najdrobniejsza okazja. Przedkapitalistycznemu człowiekowi — jak to już nieraz zauważano — nie przyszło do głowy dorabiać się codzienną pracą. Służba dworska, służba wojskowa, spadek, lichwa, alchemia — to były rzeczy, które przychodziły ludziom do głowy, gdy chcieli się wzbogacić. Zachęty do pracowitości nie znajdzie się w repertuarze pouczeń moralnych ideologii rycerskich. Tam, przeciwnie, trzeba było próżnować, i to próżnować demonstracyjnie. Thorstein Veblen w znanej monografii o klasie próżniaczej (*The Leisure Class*)<sup>1</sup> stworzył dla tego próżnowania specjalny, już klasyczny w literaturze socjologicznej termin *conspicuous leisure* — „ostentacyjne” próżniactwo. Próżnować trzeba było tak, żeby to było widoczne, bo to właśnie stanowiło klasowe wyróżnienie. Człowiek przynależny do tych klas uprzywilejowanych, jeżeli sam nawet nie próżnował, musiał mieć na swoim utrzymaniu ludzi wiodących żywot pasożytniczy; próżnującą żonę, pewną ilość służby ziewającej po westybulach i przystrojonej w liberię akcentującą przynależność do jego świty. Jeżeli sam pracował, oni brali na siebie demonstrację próżnowania.

Pospolity u rycerstwa obyczaj ślubowań — które trzeba było wykonywać bez względu na wielkość związanych z tym ofiar i bez względu na ryzyko osobiste, tak jak ślub naszego Podbiپیęty, który długo przetrwać musiał w dziewictwie, zanim udało mu się ściąć jednym cięciem miecza trzy głowy niewiernych — nie wiązał się z szacunkiem dla zobowiązań p ł a t n i c z y c h, jeżeli to nie były tzw. długi honorowe. Zobowiązania płatnicze nie były jednak zwykle zobowiązaniami w r a m a c h s w o j e j k l a s y. Gdy nasze ziemiaństwo ściągało do stolicy na karnawał, by pokazać córki na balach i wydać je za mąż, zostawiało zwykle po sobie różne nie zapłacone rachunki: u krawcowej, fryzjera, nauczycielki, która cyzelowała francuszczyznę. To nie byli ludzie z tej samej sfery. N i e z ł o m n o ś ć s ł o w a r y c e r z a s k ł a d a j ą c e g o j a k i e ś ś l u b y n i e m i a ł a n i c w s p ó ł n e g o z s o l i d n o ś c i ą z o b o w i ą z a ń m i e s z c z a ń s k i c h. Było to ubieganie się o rzecz trudną u ludzi szukających osobistego wyróżnienia.

Oszczędność była u uprzywilejowanych czymś, czego się człowiek wstydził i co usiłował maskować. Franklin tymczasem w swoich wspomnieniach podkreśla skromność, z jaką żył z żoną jeszcze wtedy, gdy powodziło im się dobrze, i przypomina, jak to długo nie pozwalał sobie na luksus jedzenia na

<sup>1</sup> Por. Thorstein Veblen, *Teoria klasy próżniaczej*, przeł. J. i K. Zagórscy, wstęp J. Górski, Warszawa 1971 (przyp. red. tomu).

porcelanie. W liście do żony z Anglii, gdzie Franklin był przedstawicielem swojej nowej ojczyzny, przykazuje nie wydawać nazbyt wiele na ślub córki — wskazówka, jak się zdaje, niepotrzebna, bo pani Deborah Franklin uchodziła za nader oszczędną. Kto o grosz nie dba, grosza nie wart — pisał kalendarz Franklina. [...]

Oszczędność łączyła się z kultem zrównoważonego budżetu, co znowu było dalekie od szlacheckiego: zastaw się, a postaw się. Gdy posiadasz wiedzę, jak wydawać mniej, niż wpływa, pisał Franklin, posiadasz kamień filozoficzny. O moralnym posmaku równowagi między „ma” i „winien” będzie jeszcze później mowa obszerniej.

Życie z ołówkiem w ręku wiąże się z planowością i metodycznością. „Każdej rzeczy przydziel właściwe jej miejsce — przykazywał Franklin — każdej sprawie wyznacz właściwą dla niej chwilę”. Sen, praca, odpoczynek i rozrywka miały u Franklina dokładnie wyznaczone godziny. Metodycznie także przystępował do pracy nad sobą: metodycznie kierował swoim samokształceniem, metodycznie pracował nad swoim poziomem moralnym. Zwracano już na to uwagę, że sekta metodystów, założona w Anglii w wieku XVIII i rekrutująca się spośród warstw średnich, nie darmo nosiła tę nazwę. Niektórzy wiążą tę metodyczność z zasadami wyznawanej religii. Kościół katolicki, jak powiadają, zapewniając wyznawcom oczyszczenie się z grzechów przez spowiedź, nie wymagał w tym stopniu nieustannego czuwania nad sobą. Inaczej w wyznaniach, gdzie nie można się było tak łatwo spłukać z grzechu. Tam nieustanna kontrola samego siebie była potrzebna. Jeżeli ten czynnik istotnie grał rolę, to w każdym razie był — jak sędzę — drugorzędny. Kościół katolicki wszak także wymaga od wiernych codziennego rachunku sumienia, a tę samą metodyczność, jaką objawiał Franklin, odnajdziemy niebawem u polskiego rzemieślnika-katolika, któremu służy ona także przede wszystkim w realizacji stawianych sobie celów, a mianowicie do osiągnięcia sukcesu ekonomicznego.

Charakterystycznym przykładem metodyczności Franklina jest sporządzona przezeń tabelka cnót i grzechów, służąca codziennemu doskonaleniu się. Mamy w niej inwentarz podstawowych cnót, o które Franklin obiecywał sobie zabiegać. Było ich trzynaście, a mianowicie: 1) wstrzeźliwość, 2) umiejętność milczenia i unikania rozmów o głupstwach, z których żaden z interlokutorów nie może mieć żadnego pożytku, 3) porządek, 4) mocna decyzja dotrzymywania postanowień, 5) oszczędność, 6) pracowitość, 7) szczerłość, nieposługiwanie się podstępem, 8) sprawiedliwość, 9) umiarkowanie, 10) schludność ciała, ubrania i otoczenia, 11) spokój, tj. niedopuszczanie do tego, żeby wytrącały człowieka z równowagi drobiazgi, wydarzenia godzące w równej mierze we wszystkie czy też wydarzenia nieuniknione, 12) czystość płciowa, 13) pokora<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Zob. Max Weber, *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*, przeł. J. Miziński, Lublin 1994 (przyj. red. tomu).

Co tydzień Franklin poświęcał przede wszystkim uwagę jednej z tych cnót. W swojej tabeli wymieniał wzdłuż linii poziomej kolejne dni tygodnia, zaś wzdłuż linii pionowej wspomniane trzynaście cnót. W utworzonych kratkach trzeba było codziennie znaczyć punktem każde uchybienie przeciw którejkolwiek z wymienionych cnót, zwracając jednak uwagę przede wszystkim na cnotę „zadaną” na dany tydzień i usiłując w jej zakresie doprowadzić do zupełnej czystości wszystkich kratek w ciągu całego tygodnia. Tę samą pracę rozpoczynało się w następnym tygodniu w stosunku do jakiejś innej cnoty, znacząc zawsze skrupulatnie uchybienia w stosunku do pozostałych.

Jest rzeczą jasną, że w każdej klasie społecznej zdarzają się ludzie, którzy swoje ambicje perfekcjonistyczne realizują w sposób uporządkowany i planowy, i że w warstwach szlacheckich, dziedziczących tradycje rycerskie, można równie dobrze znaleźć przykłady osób prowadzących życie zdyscyplinowane według narzuconych samemu sobie dyrektyw. Różnica polega na tym, że owa metodyczność w sferach dziedziczących tradycje rycerskie nie wchodziła w skład głośzonych przez nie haseł i nie nadawała stylu grupie. [...]

Do spraw szczególnie ważnych i charakterystycznych należy stosunek do pieniądza. W *Radach dla młodego kupca* Franklin pisał: „Pamiętaj, że czas to pieniądz. Ten, kto może zarobić dziesięć szylingów dziennie swoją pracą, a idzie sobie na pół dnia na spacer albo przez pół dnia siedzi beczynn timer, choćby wydał tylko sześć pensów w czasie swojej beczynności czy rozrywki, nie powinien tego uważać za jedyny swój wydatek; naprawdę bowiem wydał, a raczej wyrzucił pięć jeszcze szylingów.

Pamiętaj, że kredyt to pieniądz. Jeżeli ktoś zostawia pieniądze w moich rękach po tym terminie, w jakim powinny były być zwrócone, darowuje mi procenty albo to, czego mogę przy pomocy tych pieniędzy w tym czasie dokonać. Można w ten sposób dojść do poważnej sumy, jeżeli się ma dobry i szeroki kredyt i jeżeli się zeń robi dobry użytek.

Pamiętaj, że pieniądz z natury jest płodny i posiada moc rozrodczą [...]. Pieniądz może rodzić pieniądz, jego dzieci mogą rodzić dalsze itd. Pięć szylingów, którymi się obraca, zmieniają się w sześć, przy dalszym obrocie w siedem i trzy pensy itd., aż stają się setką funtów. Im więcej ich jest, tym więcej produkują przy każdym obrocie, tak że zyski rosną coraz prędzej. Kto zabija prośną świnię, zabija całe jej potomstwo do tysięcznego pokolenia. Kto morduje koronę, ten niszczy wszystko, co mogłaby ona przynieść, całe nawet dziesiątki funtów”.

Trudno o mocniejsze stwierdzenie twórczego charakteru pieniądza i o bardziej znamienne upomnienie dla czytelnika niż maksyma: c z a s t o p i e n i a d z. Franklin forsuje w cytowanych ustępach nie rentierskie ciułaństwo, lecz obracanie kapitałem — dyrektywa tak ważna dla młodego kapitalizmu. Zapewne nie jest on — jak o tym będzie jeszcze później mowa — pierwszym, który zalecał bogacenie się, ale to przeliczanie c z a s u n a p i e n i a d z, ta troska o nietracenie ani chwili i o to, by ta postawa życiowa stała się

p o w s z e c h n ą, wnoszą coś nowego kształtując *ethos*, w którym Europa i Ameryka oddalają się szczególnie od kultur azjatyckich.

Niejedni komentatorzy Franklina robili z tych dyrektyw karykaturę. A jednak warto się nad nimi zastanowić poważnie i przyrzeć się im z perspektywy dziejów jako pewnej odmianie mądrości życiowej, charakterystycznej dla kapitalizmu. Jak w mądrości życiowej starożytnych, tak i tutaj sprawą centralną jest zdobycie niezależności. Mędrzec stoicki uzyskiwał niezależność przez odebranie wartości wszystkiemu prócz własnego poziomu moralnego. Mędrzec epikurejski — przez wyleczenie się z lęków i umiejętności cieszenia się byle czym. Obie te niezależności były dostępne tylko dla ludzi wyjątkowych. Mędrzec stoicki miał stanowić rzadkość, taką jak feniks. Młody kapitalizm ofiarowuje ludziom nieporównanie bardziej demokratyczną niezależność, niezależność zdobytą przez pieniądź. Własna kariera Franklina była dla niego dowodem, że ta droga jest otwarta przed każdym. W pouczeniach pt. *Jakim sposobem można mieć zawsze pieniądze w kieszeni...* czytamy: „Niechaj poczciwość będzie jakoby duszą twojej duszy i nie zapominaj nigdy zachować kilku groszy z zarobku po obliczeniu i zaspokojeniu wszelkich wydatków, wtenczas dosięgniesz szczytu szczęśliwości, a niepodległość będzie twoją tarczą i puklerzem, twoim hełmem i twoją koroną”. Tyle rzeczy ważnych kupionych za tak niewielką cenę!

Cytowane wyżej wyjątki z Franklina służyły Maxowi Weberowi do ilustrowania tezy, że w moralności wyrosłej z purytanizmu robienie pieniędzy staowało się p o w o ł a n i e m, co miało być osobliwością tego *ethosu* w porównaniu z hasłem *enrichissez vous*, głoszonym np. w porewolucyjnej Francji. [...] U człowieka pełnego dobroduszości i humoru, jakim był Franklin, nie ma w głoszonych przezeń hasłach ani żadnego rygoryzmu, ani patosu religijnego, ale jest faktem niezaprzeczonym, że od robienia pieniędzy uzależniona jest u niego c n o t a. Pisząc o wydawanym przez siebie kalendarzu, Franklin mówi: „Wypełniłem niewielkie wolne miejsce między odznaczającymi się czymś dniami kalendarza zdaniem o charakterze przysłów, takimi przede wszystkim, które nakłaniały do pracowitości i oszczędności jako środków zdobycia majątku i t y m s a m y m d o z a p e w n i e n i a s o b i e c n o t y [podkreślenie M.O.], ponieważ trudno jest biednemu człowiekowi postępować uczciwie, w myśl przysłowia «pusty worek nie może stać prosto»”. [...] Ta myśl wraca u Franklina wielokrotnie w różnych postaciach. „Kto źle ubrany, ten pozbawiony cnoty”, głosi np. kalendarz z 1736 roku. [...]

W etykach arystokratycznych [...] cnota uzależniona jest od stanu posiadania nie wprost, ale pośrednio. Szlachetność idzie za pochodzeniem, a pochodzenie, co rozumie się samo przez się, jest związane z pewnym poziomem majątkowym.

*Ethos* szlachecki nie pozwalał na zaabsorbowanie pieniądzem, *ethos* Franklina nie tylko zezwalał, ale zalecał nawet czas na pieniądze przeliczać. Franklin w autobiografii i listach pamięta wszystkie ceny. Wspominając o tym, jak jego

gospodarstwo dorabiało się powoli naczyń porcelanowych, podaje kwotę, w jakiej wyraża się posiadany przez niego obecnie zasób porcelany. Przysyłając żonie z Anglii jedwab na suknię jako prezent z okazji sukcesu dyplomatycznego, odniesionego na rzecz kolonii, nie zapomina nadmienić, ile zapłacił za jard. W czasie pierwszego pobytu w Anglii Franklin przyjaźnił się z młodym poetą i jego ukochaną. Gdy ten na pewien czas wyjechał powierzając samotną kobietę opiece przyjaciela, Franklin nazbyt serdecznie zajął się opuszczoną, co spowodowało zerwanie między przyjaciółmi. „Nie mogłem się już wtedy spodziewać, że odzyskam kiedykolwiek pieniądze, które mu pożyczyłem albo które za niego wykładałem” — melancholijnie zauważa z tej okazji Franklin. Jeżeli życie w atmosferze kalkulacji poczytujemy za charakterystyczne dla postawy życiowej zalecanej przez Franklina, to nie dlatego, oczywiście, byśmy negowali rolę pieniądza w warstwach dziedziczących tradycje rycerskie. I tu, i tam rzecz była nader istotna, różnica jednak polegała na tym, że w *ethosie* szlacheckim trzeba było pieniądza i spraw gospodarczych jak gdyby nie zauważać: robienie pieniędzy, choć mogło odpowiadać potrzebom serca, nie mogło się znajdować w głoszonych oficjalnie hasłach. U Franklina nikt się nie wstydzi mówić o pieniądzu, tu wolno przyznawać się otwarcie, że się człowiek dorabia. Dorabia cierpliwie, pamiętając, że ziarnko do ziarnka tworzy miarkę, i ostrożnie, nie tracąc z oczu prawdy, że „wielkie statki mogą się daleko na wodę puszczać, a małe czółna powinny się trzymać blisko brzegu”.

Życie metodyczne wymaga ujarzmania wielkich sił, które mogą w każdej chwili zagrażać narzuconej samemu sobie dyscyplinie. Toteż Franklin redagując listę trzynastu cnót, do których winien się być zaprawiać, pisze: „Erotykę uprawiaj rzadko i tyle tylko, ile wymaga zdrowie i sprowadzenie na świat potomstwa. Nigdy aż do oświecenia czy osłabienia. Nigdy z krzywdą dla swego własnego albo cudzego spokoju czy opinii”. Z góry należy zaznaczyć, że w stosunku do tej dyrektywy sam Franklin nie był w porządku. Serce czułe na kobiety zachował do późnej starości i ono to doprowadziło go do czynów, o których w autobiografii mówił: moje errata życiowe. Gdy otworzył w Filadelfii wspomniany już sklep z materiałami piśmiennymi, sąsiedzi zaczęli go swatać ze swoją krewną. W tym wypadku Franklin trzymał się pierwszej części swojego późniejszego kalendarzowego przykazania: „Mniej oczy szeroko otwarte przed ślubem, przymknięte po ślubie”. Gdy rodzina panienki nie chciała dać żądanego przez Franklina posagu (sto funtów na pokrycie jego długów), wycofał się, posądzając jej rodzinę, że liczy na to, iż konkurent ugnie się pod wpływem uczucia. Żeniąc się ostatecznie z kobietą, której za młodu obiecywał małżeństwo, Franklin naprawił to, że ją niegdyś zaniedbał. Przyniósł on żonie w wianie nieślubnego syna zrodzonego z jakiegoś tajemniczego związku. Pani Deborah Franklin była żoną wierną, gospodarną i oszczędną, ale dystans między nią a mężem był bardzo znaczny, co wymagało prawdopodobnie od niego — by utrzymywać harmonię domową — owych oczu przymkniętych po ślubie. Ułatwiały sprawę długie nieobecności Franklina w domu. Po



śmierci żony Franklin, nie bacząc na przekroczoną siedemdziesiątkę, oświadczył się w Paryżu wdowie po Helwecjuszu i kochał miłością póterotyczną, półojcowską, panią Brillon de Jouy. Pełne zrozumienie dla spraw płci kazało Franklinowi w kalendarzu ostrzegać ludzi, że „gdzie jest małżeństwo bez miłości, tam będzie miłość bez małżeństwa”.

Ostatnia faza paryska byłaby niewątpliwie wpłynęła na zmianę wcześniej skreślonych przez Franklina wzorów kobiecych. Wzory te wyznaczały kobiecie mały zasięg działania. Przeznaczona jest ona — według Franklina — do pracy w domu i do wychowywania dzieci. W liście do córki z 1764 roku Franklin nakazywał jej pilnie chodzić do kościoła, choć sam tego nie uprawiał. Polecał jej także uczyć się arytmetyki i buchalterii, być dobrą, rozważną i kochać swoją matkę. Program ograniczony.

Ponieważ stosunek *ethosu* mieszczańskiego do sztuki był tak ważkim czynnikiem w krytyce tego *ethosu* podjętej przez sfery artystyczne, chcemy jeszcze powiedzieć na zakończenie parę słów i na ten temat. Franklin za młodu uprawiał poezję, ale — jak pisze w autobiografii — ojciec go zniechęcał perswadując, że poeci to żebracy. Sam Benjamin pisał później: „Uznaję bawienie się poezją od czasu do czasu o tyle, o ile przyczynia się to do doskonalenia stylu, ale nie więcej”. Wraz z rozszerzającą się kulturą Franklina jego osobisty stosunek do sztuki nieco się zmienił, czego śladów można się dopatrzeć w korespondencji. Ale w swoim kalendarzu Franklin jako pedagog zajmował stanowisko podobne do stanowiska ojca. „Ubóstwo — jak głosi kalendarz z 1736 roku — uprawianie poezji i przybieranie tytułów ośmieszają człowieka”.

Skrócona pierwsza część rozdziału *Klasyczny model moralności mieszczańskiej: Benjamin Franklin* książki Marii Ossowskiej *Moralność mieszczańska*, wydanej w 1956 roku.

Przedruk według wydania drugiego, Ossolineum, Wrocław 1985, s. 74-93.  
Opuszczono większość przypisów.